

PORANEK W SULEJÓWKU

Dnia 30 listopada 1923 roku, w mokrą zawieruchę śnieżną, wysiadłam z wagonu na małej stacji i rozglądałam się po okolicy, niepewna, w którą stronę me kroki skierować. Toteż z wybuchem radości powitałam Poniatowskiego*), który wysiadł z tego samego pociągu. Przebywał on stale przy Marszałku, mógł też od razu uspokoić mnie co do jego zdrowia. Szliśmy razem dużymi krokami, przez jakieś pole, potem przez sosnowy las i zaraz, za dużą drewnianą bramą, ukazały się białe kolumny stylowego dworku...

Już ganek. Naciskam klamkę i wchodzę do typowo wiejskiej sieni, skąd pną się w górę drewniane schody. Od razu doświadczam uczucia ulgi: jak tu ładnie, zacisznie! Znikąd ani szelestu. Śmiało sunę dalej: co za śliczny salon! Duże oszklone drzwi na ogród, starsze meble, na ścianie Malczewskiego portret Komendanta, a przede wszystkim prawdziwy duży kominek, z którego zwieszają się fantastyczne festony pnących roślin.

Zaglądam do sąsiedniej jadalni: tam także dużo okien i wazonów z kwiatami, taki sam ład przytulny i dworkowy. Co za radość, że on żyje w takiej własnej atmosferze!

Ale gdzież są oni wszyscy? Wracam znów do salonu, otwieram jeszcze jedne drzwi i pierwsze moje spojrzenie pada na ciemnowłosą małą główkę na kanapie.

— Wandziu, poznasz mnie? Ale Jagódka, skulona w drugim rogu kanapy, nie orientuje się z kim ma do czynienia i darzy mię filuternym uśmiechem, przeznaczonym, zdaje się, dla każdego gościa. Zapoznaje się od razu z ich cioteczną siostrą, Hanką Kadenacówną, i ta mnie informuje, że wuj nie wstał jeszcze, a ciocia...

... mała ręką w taki sposób, jakbym naza jutrz miał rozgrywać flirt, a pewnie mimochodem łamuciem tuzin innych! — Ale gdzież tam! To mnie nie zna... Calkiem przeciwnie: byłem czarującym, ze swą sąsiadką koleżanką, tak, jakbym naza jutrz miał rozgrywać flirt, a pewnie mimochodem łamuciem tuzin innych!

Wtem drzwi od sieni skrzypnęły cicho i wsuwa się wysoka, przygarbiona trochę postać. Zrywam się raptownie, dawnym żołnierskim odruchem.

— Dzień dobli — mówi żartobliwie Komendant podając mi rękę i zaraz szuka oczyma córceczek.

Niedługo się z nimi bawił, gdyż wezwano go na śniadanie. Przy tej okazji i mnie też poczęstowano herbatą i cudownym

— Ale gdzie tam! Jest całkiem taki jak przed dziesięć laty. Klnie, jeździ konno jak wariat i rządzi się na swym folwarku zupełnie tak jak wtedy, w szwadronie. Z sąsiadami endeckimi kłóci się wprawdzie, ale go ogromnie szanują, boć to zawsze „pan pułkownik“!

— Tu, jakby sobie coś przypomniawszy, zapytał mnie, czy w czasie wypadków listopadowych nie byłam w Krakowie?

— Owszem, Komendancie, prawie że byłem ich świadkiem. — A czy pani wie coś o naszym stroju, jaki panuje obecnie w 8 pułku ułanów?

— Niestety, na to pytanie nie mogę właściwie odpowiedzieć. Z ułanami tymi nie stykam się teraz zupełnie. Mówili mi ludzie, ale stojący pod wpływem „ósemki“, że jest tam ponoć wielkie rozgoryczenie i pragnienie zemsty na robotnikach.

— I mnie coś takiego opowiadano.

Tu Komendant zadumał się na chwilę z wyraźnym smutkiem.

— Ja tego właśnie nie rozumiem — wykrzyknął prawie, rozkładając ręce — jak oni w tym Krakowie czują się teraz? Żołnierz we własnym kraju, do przeciwieństwa takie ukochane dziecko całej ludności, coż dopiero ułani! Nie ma takiej kucharki, co by dla ułana nie chowała jakichś specjalów, prawda? W dodatku 8 pułk, to był pułk specjalnie krakowski, jeszcze za austriackich czasów chluba i oczko w głowie całego Krakowa i okolicy. I tym właśnie ułanom każą szarżować na polski, krakowski tłum, przeciwstawiają ich robotnikom, wśród których są może ich bracia, ojcowie? W coż się przemienił ten dawny, taki serdeczny stosunek?...

— Nie wiem tego — szepnęłam, zwieszając głowę.

Komendant przeglądał teraz namiętnie jakąś gazetę. Zagłębiałam Mu... „Litewski“ (gamma?) z dawną domieszką krwi szkockiej.

— O nie, ja tego nie czytuję!

— powiedział z niechęcią.

Śniadanie już się skończyło, ale rozmowa nasza potoczyła się dalej. Weszliśmy teraz na temat antropologii ziem polskich. Komendant rozwijał dawne naukowe poglądy w tej dziedzinie, ja je prostowałam w imię nowych odkryć — jako niedawna słuchaczka tego wydziału. Siebie uważa Komendant za typ „litewski“ (gamma?) z dawną domieszką krwi szkockiej.

— Myślałem nieraz nad tym, co wzięłem z matki, a co z ojca, ale oprócz tych czynników dziedzicznych, widocznych i u mego rodzeństwa w różnych kombinacjach, widzę w sobie coś wy-

RĘKOPIS TEJ RELACJI Z ROZMÓW W SULEJÓWKU ZNAJDUJE SIĘ W MOIM POSIADANIU.

AUTORKĄ JEJ JEST OSOBA DOBRZE MI ZNANA, UCZESTNICZKA WALK PIERWSZEJ BRYGADY.

Michał Sokolnicki

Najnowsza Historia Polski

Nie mógł się ten człowiek pokazać we wsi, żeby za nim całe gromady malców nie leciały. Do końca życia nie było takiego dzieciaka, którego by on nie pogłaskał, do którego by nie przemówił. Poza tym koniarz to był, niemal że większy od Beliny. Złościł się zawsze na mnie: „ty, Ziuk, jeździsz jak profesor“ — dlatego, że garbiłem się już wtedy, i na koniu też. A że sam jadał przeważnie tłusto, więc wyśmiewał także moje zamiłowanie do słodczy: „ty, Ziuk, zjadłbyś nawet podeszew, byle ci ją cukrem posypać!“ Mnie natomiast niedobrze się robiło na widok porcji koldunów, które on pochłaniał. Szalenie muzykalny — w tym odrodziłem się

na wstępie: „Wiesz, przestałem prenumerować „Słowo“! — „Dziadziu, dlaczego? Przecież nowa powieść Sienkiewicza...“ — „Otóż to właśnie!“ — zarządził basem starsuszek. — „Właśnie ten młokos Sienkiewicz! Ten nie wie nawet, co to Billewicze, a porywa się pisać o nich!“ Zglupiałem zupełnie, bo mi się zdawało, że Sienkiewicz z wielkim szacunkiem i przychylnością potraktował naszą rodzinę. Z trudnością wydobyłem od oburzonego dziadunia, co go tak dotknęło. Drżącymi rękami podsunął mi pod nos numer „Słowa“ — sam początek „Potopu“. „Czytaj, czytaj! Sam zobacz...“ Czytałem więc ze zdumieniem (jak to tam idzie?):



Józef Piłsudski z córeczkami Wandą i Jagódką.

(Rysunek Czermańskiego)

nie ma pani pojęcia, jak się rozkoszował! Czuło się, że on chwilami wprost nie może własnym oczom uwierzyć, że to jego własny siostrzeniec przebywa na takich wyżynach! Z jaką nabożną uwagą oglądał wszystko dookoła! Żeby mu zrobić przyjemność, posyłałem z nim czasem adiutanta do mojej łóżnicy w teatrze. Kilka razy jedliśmy razem podwieczorek w Belwedrze. Nasza rozmowa przy herbacie prawie zawsze doprowadzała do takiego zwrotu: „No, no, Ziuk, i skąd to na ciebie przyszło? Bo — tu zniżał głos — my w familii mieli ciebie zawsze za wariata“. — „Ha, mój wujaszku — odpowiadałem — może właśnie stąd to na mnie przyszło“. Żegnając się, wracał jeszcze stale do tego tematu: „Pamiętaj Ziuk, że jeżeli ty tu jesteś, to tylko przez krew Billewiczowską! To tak zawsze było: co Billewicze zebrali, to Piłsudscy roztrwonili...“ Tu groził mi palcem: „Pamiętaj!“

— Czy on dożył tej chwili, gdy się Komendant rzekł naczelnikostwa?

— Nie, umarł przed dwoma prawie laty.

— To szczęście dla niego! Byłby tego nigdy Komendantowi nie darował...

— Pani! On byłby tego nie przeżył — zawołał, śmiejąc się. — To byłby dla niego jeszcze jeden dowód, że co Billewicze zbiorą, to Piłsudscy roztrwonią!

Po chwili mówiliśmy o tym, jak się różni ludzie odnoszą do Komendanta. Wspomniłam o pewnej endeczce, oczywiście arcy-wrogo usposobionej, która po półgodzinnej z nim rozmowie towarzyskiej zwierzyła się mojej kuzynce: „Nie zmieniłam zdania i twierdzę nadal, że jest to człowiek bardzo szkodliwy, ale mimo to wiem: gdyby przeżył z nim jeszcze ze dwa dni, to musiałabym zrobić wszystko, czego by on zechciał“.

— ... mała ręką w taki sposób, jakbym naza jutrz miał rozgrywać flirt, a pewnie mimochodem łamuciem tuzin innych!

— A czy Komendant wie, co powiedziała pani Paderewska o tej siarce?

— Nie, nie słyszałem.

— Otóż, rozmawiał z nią Komendant przyjaźnie na jakimś raucie przez dłuższą chwilę. Pani Paderewska, bezpośrednio potem, idąc przez salę, chwyciła nagle kurczowo za rękę napotkaną po drodze panią Grocholską, szepcząc jej do ucha: „Wiesz, a jednak od niego czuć siarke...“

Gdy się już naśmieliśmy dowoli, Komendant przemówił:

— To nic, widziałem ja dziwniejsze fakty. Na przykład raz, było to po upadku gabinetu Pa-

— W owych czasach nie było to znowu takie dziwne. Był to okres, gdy wszyscy, bez wyjątku, nawet zaciekli wrogowie, wpatrywali się we mnie z namiętnym oczekiwaniem. Nawet w ich drobiazgowych kłótniach i inwektywach czuło się element tej dziwnej pewnością: możemy dokazywać, bo jest ktoś, kto czuwa... Zaś arystokracja! Trudno ich posądzać, żeby się raptownie do mnie przekonali, a jednak chytrze, w półsłówkach, podsuwano mi wówczas wielokrotnie myśl o... koronie. Co oni nie wyrabiali! Udawałem, że nie rozumiem dwuznacznych rozmów. Wreszcie, chcąc się jasnie wytłumaczyć, poprosili mnie na jakiś swój rauc. Odmówiłem. Nalegali tak silnie, że zaraz wyczułem: coś się w tym kryje! Poszedłem z ciekawości. No i urządzono mi przyjęcie literalnie takie, jak dla monarchy, z całym ceremoniałem. Różne księżne i hrabiny, szalenie dekoltowane, wykonywały przepiślowe dworskie ukłony — wie pani, to jest dyg tak głęboki, że taka dama na chwilę niemal siada na podłodze... I nagle zrozumiałem, że cały ten rauc tylko po to urządzono. Brrr...! Jakież mi to było wstretne!

— Dlaczego, Komendancie? Zapewne była w tym jakaś polityczna rachuba, ale przecież niektóre z tych pań czyniły to z prawdziwego przekonania i uczucia.

— To niech by sobie wzięły innego reżysera! — burknął gniewnie. — A przecież to wszystko urządził pewien książę, którego nie mogłem mieć kszacunku...

— Owego wieczora musiałem pewnie Komendant milczeć sępnie...

— Ale gdzież tam! To mnie nie zna... Calkiem przeciwnie: byłem czarującym, ze swą sąsiadką koleżanką, tak, jakbym naza jutrz miał rozgrywać flirt, a pewnie mimochodem łamuciem tuzin innych!

— Ale gdzież tam! To mnie nie zna... Calkiem przeciwnie: byłem czarującym, ze swą sąsiadką koleżanką, tak, jakbym naza jutrz miał rozgrywać flirt, a pewnie mimochodem łamuciem tuzin innych!

— Nie, ja w to nie wierzę.

— No to się pani na mnie oszuka — przekomarzał się Komendant. — Ja właśnie wtedy wydaję się w towarzystwie największy wścibski!

— No, a we Lwowie na zjeź-

... tyle serdeczności, że czuję się prawie zaskoczona. Dowiaduję się, że pisali, że pamiętali. Ola oprowadza mnie najpierw po całym domu z widoczną dumą i radością, akcentując parokrotnie, że jest to dar od żołnierzy.

Wtem drzwi od sieni skrzypnęły cicho i wsuwa się wysoka, przygarbiona trochę postać. Zrywam się raptownie, dawnym żołnierskim odruchem.

— Dzień dobli — mówi żartobliwie Komendant podając mi rękę i zaraz szuka oczyma córeczek.

Niedługo się z nimi bawił, gdyż wezwano go na śniadanie. Przy tej okazji i mnie też poczęstowano herbatą i cudownym miodem, wyhodowanym przez Olę.

Komendant zaczął się rozpytywać o moją małą, tak szczegółowo, tak po ojcowsku, że mi wprost serce topniało. Okazało się, że miał poważny zamiar zabrać Wandę, jadąc w moje strony, i dać mi ją na wieś na kilka dni. Ponowiwszy obietnicę, że będę nad nią czuwać osobiście, uzyskałam zapewnienie, iż projekt ten wykonany zostanie przy pierwszej okazji. Frasował się jednak Komendant, że z tą „wariatką“ trudno mi będzie dać sobie rady. „Wariacją“ ta polega, jego zdaniem, nie tylko na wrażliwości nerwowej, ale także na szybkim przechodzeniu wrażeń w pojęcia i na ogromnie żywej przemianie tych pojęć. Wspominając o podróży z dziećmi do Wilna, powiedział:

— Trzeba je tam dopiero wieść, aby się nauczyły po polsku mówić. Przecie oni tu, ani w Małopolsce nie znają zupełnie różnicy pomiędzy literami „H“ i „Ch“ — dla nich „chonor“ jest to samo co honor!

Nieśmiało zaczęłam opowiadać o projekcie zjazdu na 2 sierpnia i o korespondencji z Beliną na ten temat. Komendant oponował przeciw mojemu zdaniu, jakoby Belina „zdziaździła“.

*) Prawdziwe nazwisko: Lizuraj.

— O nie, ja tego nie czuję! — powiedział z niechęcią.

Śniadanie już się skończyło, ale rozmowa nasza potoczyła się dalej. Weszliśmy teraz na temat antropologii ziem polskich. Komendant rozwijał dawne naukowe poglądy w tej dziedzinie, ja je prostowałam w imię nowych odkryć — jako niedawna słuchaczka tego wydziału. Siebie uważa Komendant za typ „litewski“ (gamma?) z dawną domieszką krwi szkockiej.

— Myślałem nieraz nad tym, co wzięłem z matki, a co z ojca, ale oprócz tych czynników dziedzicznych, widocznych i u mego rodzeństwa w różnych kombinacjach, widzę w sobie coś wyróżniającego mnie wyraźnie od reszty rodziny. To coś przypisuję szkockiej domieszce krwi Butlerów. Pamiętam kilku wujów tego nazwiska — to całkiem odrębne typy. Zdaje mi się, że po tych zamorskich emigrantach wzięłem swoją wolę.

— A rodzice?

— Charakter mam po matce. Była to prawdziwa „mater familias“. Nawet najdalsza rodzina na zjeżdża, aby się jej poradzić w jakichś wątpliwych sprawach sumienia. „Masia“ była po prostu wyrocznią, bo też dziwnie pewna była zawsze, jaką drogę obrać. Za to zdolności odziedziczyłem po ojcu. Ach, mój ojciec! Jakiż to był dziwny człowiek! Nie było rzeczy, którą by się nie interesował, której by nie umiał. Jego też się radzili krewni i sąsiedzi, głównie w sprawach majątkowo-gospodarskich — no i radził świetnie, ale sam u siebie nie potrafił tych rad stosować. A zarozumiał! Jeszcze więcej ode mnie.

— Czy być może? — wtrącałam ze śmiechem. — Twierdzą niektórzy, że już nie można więcej!

— Ale gdzie tam! — śmiał się Komendant. — Stanowczo on mnie prześcigał. Podobny jestem do ojca także z ruchów, mowy, no i z miłości do dzieci.



Józef Piłsudski z córeczkami Wandą i Jagódką.

(Rysunek Czermańskiego)

dziwnie — do późna w noc mógł siedzieć przy fortepianie, improwizując. Jednym słowem była to istna kopalnia wszelakich możliwości. O zdrowie swoje nigdy nie umiał się troszczyć, i umarł dosyć młodo, w Petersburgu, na zapalenie płuc, ponieważ biegał stale w rozpiętym lekkim palcie, podczas ostrych mrozów. Jeszcze jedno: siłacz to był z takich, o jakich nie słyszy się już dziś: łamał podkowy bez wielkiego wysiłku.

— O ile wiem, Komendant tego nie odziedziczył? — wtrącałam pytająco.

— Owszem, jako młody chłopak byłem nieprzeciętnie mocny. Ale nie zajmowałem się nigdy gimnastyką, ani sportami.

I znowu nawrócił do wspomnień:

— A dziadzio Billewicz Tomasz! To był typ! Jakże dobrze pamiętam jego fajkę na długim cybuchu i te zirytowane kroki... Przychodziłem do niego czasem w Wilnie, jako studentek V i VI klasy. Staruszka zachwycało niezmiernie „Ogniem i Mieczem“, które wychodziło wówczas w odcinku „Słowa“ warszawskiego. Przychodzę kiedyś właśnie w tym okresie, gdy zaczął już ukazywać się „Potop“ — pewien, że usłyszę nowe zachwyty. Tymczasem dziadzio, niezwykle podniecony, rzuca mi

„Żyje na Litwie zdawna znany i szanowany ród Billewiczów. Do wielkich zaszczytów nie dochodził, ale...“ — „Otóż to!“ — ryknął dziadzio z najwyższą furją, bijąc w stół pięściami. — „No, Ziuk, cóż ty na to?“ — „Ja nie rozumiem, dziaduniu... Przecież tu nie złego“. — „Jakto?! Młokosy wy obaj, ty i twój Sienkiewicz! Najpierw się uczyć, potem pisać! To Billewicz do zaszczytów nie dochodzili? Patrzenie! A panu Sienkiewiczowi to nie wiadomo, że starosta żmudzki zasiadał w senacie przed pierwszym kasztelanem? Toż nie drażkowym kasztelanem był Billewicz! A dziś, czegośmy to doczekali? Lada gryziپیórek...“ — „No, ale z biegiem czasu i przygód dzielnej Oleńki, przekonał się starsuszek do „Potopu“. Najpierw skrycie, potem już jawnie, powróciło „Słowo“ do jego domu i znów była uciecha, większa jeszcze niż przy „Ogniem i Mieczem“, bo to, bądź co bądź, swoi...“

— Ten dziadzio Billewicz miał syna Jana, którego my dzieci, nie wiadomo dlaczego, przeważaliśmy „Wujcio Psiuty“. Było to sobie, ot takie zero, dosyć okrągłe, poczciwy człeczyna, ale rozumem nie grzeszył. Otóż ten właśnie wujaszek bywał u mnie czasem w Belwederze i

... chciał się „Znam się już na tym!“

— A czy Komendant wie, co powiedziała pani Paderewska o tej siarce?

— Nie, nie słyszałem.

— Otóż, rozmawiał z nią Komendant przyjaźnie na jakimś raucie przez dłuższą chwilę. Pani Paderewska, bezpośrednio potem, idąc przez salę, chwyciła nagle kurczowo za rękę napotkaną po drodze panią Grocholską, szepcząc jej do ucha: „Wiesz, a jednak od niego czułem siarce...“

Gdy się już naśmieliśmy dowoli, Komendant przemówił:

— To nic, widziałem ja dziwniejsze fakty. Na przykład raz, było to po upadku gabinetu Paderewskiego, anonsują mi w Belwederze księdza Lutosałwskiego...

— Kazimierza? Posła?

— Tak, tego samego. Kazałem go zaraz prosić. Wchodzi, widzę wychudzone niespokojne oblicze i ogromne, czarne, prawdziwie fanatyczne oczy. Proszę go siadać, pytam uprzejmie o powód odwiedzin. A ten pochyła się ku mnie, składa ręce jak do modlitwy, oczy mu płoną, i woła namiętnie: „Panie Naczelniku! Kto pana posłał, Bóg, czy diabeł?!“

Na to roześmiałam się, dość głuپیo właściwie.

— Ale ja się wcale nie roześmiałem, tylko mu odpowiedziałem po chwili, całkiem poważnie: „Mój księże posła! C'owiek w ten sposób wysłany rajczęściej sam nie zna swego mocodawcy, a tym mniej potrafiłby ludziom dowieść czegoś na ten temat. Ale mnie się zdaje, że to właśnie księdza rzeczą byłoby sprawę zbadać. Przecież to kwestia wiary...“ — „Toteż ja codzień przy mszy świętej za Pana Naczelnika się modlę...“ — zawołał Lutosałwski gorąco.

„A zatem — odpowiedziałem — dlaczegoż tedy nie potrafi ksiądz uwierzyć, że to właśnie od Boga jestem posłany?“ — „No, i na tym mniej więcej skończyła się ta rozmowa...“

flirt, a pewnie mimochodem lamucilem tuzin innych! pani, arystokracja widzi we mnie coś niesamowitego... Nie mogą tego pojąć, że taki jak ja rewolucjonista, człek niebezpieczny, potrafi w salonie tak się zachowywać, jak by tylko do tego się urodził. Czyż to pani jeszcze nie wiadomo, że ja zawsze przy ludziach gram komedię?

— Nie, ja w to nie wierzę.

— No to się pani na mnie oszuka — przekomarzał się Komendant. — Ja właśnie wtedy wydaję się w towarzystwie najweselszy, kiedy jestem najbardziej wściekły!

— No, a we Lwowie na zjeździe, czyż był Komendant wściekły?

— Ach, wtedy, między swoimi ludźmi, to całkiem co innego! Oczywiście, byłem naprawdę wesoly. Ale wobec obcych? Niechże pani pomyśli, co by to było, gdybym ja nie umiał udawać! I to jeszcze wobec tego, jak na mnie działają wszelkie uroczystości... Żebym tak chciał być szczerym! Przecież mnie właśnie wtedy najdłiksze myśli do głowy przychodzą. Nigdy nie zapomnę pierwszej właściwie większej owacji, którą mi urządzono w teatrze — chyba w Nowym Sączu — jeszcze w 1914 roku. Kiedy zobaczyłem tych wszystkich małomiasteczkowych matadorów, nastrojonych tak uroczystości, obudził się nagle we mnie „mały Ziuczek“ i musiałem użyć całej siły woli i panowania nad sobą, żeby nie pokazać im języka na całą długość. Tej ochoty doświadczałem nieraz jeszcze później, choć już nie tak silnie, no i zawsze na szczęście mężnie ją poskramiałem. Nie darmo to Napoleon powiedział: „Uu grand chef doit être un grand commédien“.

— A przecie ja zawsze znam, czy Komendant naprawdę jest w dobrym humorze, czy tylko udaje — upierałam się pod jego żartobliwym wzrokiem...

(D. c. n.)